



Michał Krzemkowski

Na parafii w Drui (10)

ciąg dalszy z poprzedniego numeru

Stajemy przed posadowionym na niewielkim wzniesieniu, niewątpliwie pięknym, drewnianym kościołem rzymskokatolickim pw. św. Piotra i Pawła z 1929 r. Świątynię wyróżnia pięciokondygnacyjna wieża, mająca w pierwszym piętrze przekrój prostokąta, w drugim – kwadratu, trzecim – kwadratu ściętego w narożach do postaci ośmioboku, a w czwartym i piątym – koła. Wejście skrywa się pod spadzistym dachem, odchodzącym od podstawy wieży i podpartym na czterech drewnianych kolumnach. Tył kościoła buduje dwupiętrowa absyda na planie trapeza, a ponad nią wyrasta trzypiętrowa wieża na planie kwadratu. Charakterystyczny jest, ułożony w dwóch płaszczyznach, zarówno korpusu, jak i absydy, ostrospadzisty dach pokryty niemalowaną blachą cynkową. Kościół przywodzi nieco skojarzenie z wielką, zakopiańską willą. Tę okazałą budowlę otacza solidny, murywany płot z obtoczonych granitów, wzdłuż którego ustawione są zażytkowe mogiły przykościelnego cmentarza. Z boku kościoła stoi interesująca ażurowa dzwonnica pod dwuspadzistym dachem podpieranym na ustawionych skośnie ośmiu słupach. Dzwony ma aż trzy, różnej wielkości.

W środku kościół ma strukturę bazyliki, z trzema nawami, przedzielonymi prostymi kolumnami wytoczonymi z ogromnych bali drewnianych. W bocznych nawach ołtarze pną się pod sam strop, ołtarz główny, porównywalny rozmiarem, domyka

płytkie prezbiterium, wchodzące częściowo w trapezową absydę. W ascetycznie dekorowanym wnętrzu ustawione są rzędy skromnych drewnianych ławek, bez oparc. Ponad wejściem góru-

przeciwnej stronie jeziora.

Podkreślenia wymaga, że przed wojną Dryświaty były zamieszkane w przytłaczającej większości przez Polaków rzymskokatolickiego wyznania,



Na zdjęciu: Kościół - Dryświaty - na zewnątrz

je niewielki chór. Ściany zdobia niewielkie malowidła kolejnych stacji drogi krzyżowej. Światło wpada do kościoła przez witrażowe okna, w których kolorowymi szybkami przedstawione są figury krzyża łacińskiego.

Kościół św. Piotra i Pawła wybudowany został u nasady półwyspu wchodzącego głęboko w jezioro, ograniczającego mocno wciętą zatokę, na której brzegu zgrupowała się główna zabudowa wsi. Z wyniesienia kościelnego mamy znakomity widok na drugą świątynię, świątynię przemysłu, czyli elektrownię jądrową po

Żydów mieszkało w nim zaledwie kilkanastu, a więc zupełnie odwrotnie niż w dotychczas opisywanych miasteczkach Brąszlowszczyzny, położonych głębiej na wschodzie.

Dominacja żywiołu prawosławnego przypadła przede wszystkim na czas zaborów. Była to społeczność na tyle liczna, że w 1908 r. oddano na jej potrzeby śliczną, murywaną cerkiew w stylu bizantyjsko-rosyjskim również pw. św. Piotra i Pawła. W czasie sowieckiej smuty została ona zamknięta, a oddana wiernym dopiero w latach 80. XX wieku.

Od tego czasu została starannie odrestaurowana.

Oglądamy ją znajdującą się w pełnej krasie. Jest to elegancka, sześciowieżowa cerkiew, o ścianach z czerwonej cegły, obwiedzionych pokrytymi śnieżnobiałym tynkiem cokół, gzymsami i narożami oraz obramowaniami okien, drzwi i wnęk, mająca urokliwą sylwetkę, przypominającą, jakże często w prawosławiu, łabędzia, z wyciągniętą w górę ponad kruchtą wieżą i uwypuklonym korpusem, wieńczonym wieżą centralną z latarnią i otaczającymi ją czterema wieżyczkami w narożach dachu. Wszystko to obleczone jest w żywy błękit malowanej blachy, kryjącej dach i cebulowe hełmy wszystkich wież. Jedyne hełm nakrywający wieżę frontową jest dla odróżnienia pomalowany kolorem ciemnoniebieskim. Wejście do cerkwi poprzedza masywny czterokolumnowy portyk, dobrze korespondujący z przysadzistą trójkondygnacyjną wieżą dźwigającą dzwon.

Tak więc po czasach rządów królewskich, magnackich, carskich, piłsudskich i sowieckich, rządzi dziś Dryświatami ekumenicznie święci Piotr i Paweł, którzy przyszli tu z Rzymu, i zarazem Konstantynopola.

Odjeżdżamy. Kierujemy się teraz na południe. Jedziemy przez pola, łąki, lasy, bagniska. Droga znowu czymś nas intryguje. Jastrząb nad szuwarami, jastrząb na linii niskiego napięcia, jastrząb przelatujący nad drogą. „Dzień jastrzębia” – mówię cicho do siebie. Ale zrazu paręset

metrów...i pięć bocianów w gnieździe na słupie, u skraju wsi. To Grituny..., ale potem kolejne niewielkie wioski: Girejsze, Ketiszki, Leoniszki, Teleniszki, Godowszczyzna, Podtrzebszuny, Podwarynka. I tak się składa, że w dwóch z nich mijamy orszaki weselne. Są wesela, muszą być dzieci, a skoro dzieci, to nie może nie być bocianów.

Ponieważ wszyscy zwróciliśmy uwagę na tę niezwykłą bocianią rodzinę, teraz do wszystkich zakrzykuję:

- Dwa wesela, pięcioro dzieci!

- Ha ha – śmieje się Krzysztof. – Za pięć lat wracamy tu, by to sprawdzić.

Taka jest ta przyroda na Białorusi. Taka, jakby do chat wchodziła, taka, jakby miały ptaki i ssaki - polne i zagrodowe, leśne i wodne, mówić ludzkim głosem, a jeśli nawet nie, to na pewno coś wieszczę. Niby dzikie, niby obce, ale jakby przynależne do ludzkiej społeczności, jak pies, kot czy kura. Tak to odczuwam, mądrze czy nie, ale tak właśnie.

Kolejne jeziora już pod samymi Widzami, po lewej, po prawej. Rozległe szuwały, a ponad nimi kolejny już jastrząb w locie. „Dzień jastrzębia” – przypominam sobie.

Widzę to już nie taka sobie miejscowość – to blisko dwutyśczne osiedle typu miejskiego. Krzysztof opowiada, że była to przed wojną miejscina o typowo wielowyznaniowym charakterze. Dominowali Żydzi, potem rzymscy katolicy, a po nich społeczność staroobrzędowców. I to dla nich między innymi tu trafiamy. Wiadomo – Stefan układa trasę. Całości dopełniali mahometanie i najmniej liczni prawosławni nowego obrządku.

Ciekawa jest flaga Widz – w barwach flagi hiszpańskiej, ale pasy: czerwony – żółty – czerwony biegną pionowo, a w środku brak herbu. Herb Widz natomiast ma również te same barwy - na czerwonym tle żółta pszczoła.

U wjazdu do Widz wita nas schludna stacja benzynowa „Belarusneftu”. Zaraz potem wpadamy w drogę krajową P27, która przejeżdża przez miasteczko.

W centrum Widz zaczepiamy mężczyznę w trampkach, ze zwierzchną czupryną na głowie. Okazuje się, że to Polak. Stefan, nim o molennę zapyta, opowiada trochę o naszej grupie i zadaje mu parę grzecznościowych pytań. Ten, po chwili milczenia, bardzo się rozgaduje. Dowiadujemy się, że dwa lata pracował w cyrku, tułał się po świecie, miał różnych zajęć... ale trafił też, między innymi, do ...Bydgoszczy

(!). Prawda to, czy nieprawda, bardzo jest przekonujący w tym co opowiada i żal nam ogromnie, że nie mamy czym go poczęstować. Nim się rozstaniemy, pokaże nam drogę do świątyni.

Okazuje się, że to bardzo blisko. Molenna pw. Zaśnięcia Matki Bożej z 1910 r. stoi nieco na uboczu od centrum Widz, przy ulicy, a jakże, Sowieckiej. Jest zadbana, cała z czerwonej cegły, z błękitną drewnianą wieżą na dachu i ceglana, trójkondygnacyjną w fasadzie. Dach kryty eternitem. Utrzymana w stylu klasycystycznym, bardzo surowa w wyglądzie. Wygląda bardziej na niewielką fabryczkę



Na zdjęciu: Kościół - Dryświaty - na zewnątrz

niż kościół. Poza dekoracyjnymi wieżami, monotonię ceglano-muru przełamują błękitne krzyże prawosławne we wnękach, uwypuklone ze ściany i błękitne, masywne, metalowe drzwi. Zorientowana jest, jak zawsze u starowierów, na wschód. Stefan ją obchodzi, odnotowuje w swoim notatniku. Zachwyty na twarzy nie dostrzegamy. Nas raczej ta budowla przynębia. Bije od niej bardziej chłodem ceglano-pruskiego muru niż prawosławnym, pstrokatym blaskiem.

Szybko odjeżdżamy stamtąd, ale pozostajemy nadal w ceglanej estetyce. Zderzymy się jednak tym razem z niepospolitym pięknem. W samym centrum Widz, oddzielony od drogi krajowej terenem zielonym, pnie się dumnie do nieba swymi strzelistymi wieżami neogotycki kościół rzymskokatolicki pw. Narodzenia NMP z 1914 r.

Jego początki sięgają końca XV stulecia. Wówczas wzniesli tutaj drewniany kościół pw. Narodzenia NMP i klasztor dla bernardynów z Wilna synowie jednego z założycieli miasteczka – Cwietka i Hanusz Dowgirdowicze. Mimo zmiennych kolei losu

kościół przetrwał aż do początku XX wieku. Ponieważ była to jedna z bardziej licznych parafii ówczesnej guberni kowieńskiej, powstała potrzeba ufundowania nowego kościoła. W miejscu świątyni drewnianej stanął murywany neogotycki kościół pw. Św. Trójcy z czerwonej cegły, który teraz oglądamy. Uległ on poważnym zniszczeniom, zarówno w czasie pierwszej, jak i drugiej wojny światowej. Dramatyczny los spotkał także jego duszpasterzy. W 1941 r. wikariusz ks. Stanisław Matyszczuk został aresztowany przez NKWD i rozstrzelany w więzieniu w Wilejce, a w 1949 r. proboszcz parafii ks. Albert

w ostrołuki, a górne w rozety zastosowana jest także w nawach bocznych kościoła i prezbiterium; nawa główna ma proste okna w ostrołukach. Transepty, podobnie, jak szczyt bazyliki, zamykają wysokie zębate frontony. Podpierają je, podobnie jak ściany boczne, prezbiterium oraz narożniki wież - schodkowe szkarpy. Krawędź dachu dekorują liczne pinakle. Do prezbiterium, wieńczącego u góry wież, przylegają u dołu po bokach dwie zakrystie na planie ściętych sześcioboków. Co interesujące - w ścianach bazyliki wmurowane są w paru miejscach pociski artyleryjskie z okresu I wojny światowej, kiedy stanowiła ona obiekt militarny, a na jej wieżach były punkty obserwacyjne i stanowiska karabinów maszynowych oraz snajperów. Takie pociski prawdopodobnie zdruzgotały wtedy obie wieże i dużą część korpusu świątyni. Dziś, w jednej z odbudowanych po raz drugi wież, bije piękny dzwon z napisem po polsku: „Jezus, Józef, Maryja – Mieście Nas w Opiece”.

Bogactwo architektury kościoła, choć z początku XX wieku, każe wspomnieć najlepsze czasy średniowiecza. Choć to neogotyck, to jednak godny naśladowca pierwowzorów. Patrzymy urzeczeni.

Kościół jest otwarty. Wchodzimy do środka. Wnętrze jest całe w bieli, skromnie dekorowane. Nawy boczne od głównej oddzielają potężne kolumny, podpierające sklepienie krzyżowo-żebrowe pokryte bejcowanymi deskami. Korespondują one z lakierowanym drewnem prostych ławek, ustawionych w nawie głównej. Wszechobecna biel urozmaica błękit podłogi oraz cokołów ścian i kolumn. Ze sklepienia zwisają stalowe żyrandole z niewielkimi żarówkami. Światło dzienne wpada przez witraże, wypełnione przejrystymi szybami przemieszczanymi z kolorowymi, przedstawiającymi figury geometryczne. Na ścianach naw bocznych jest czternaście obrazów drogi krzyżowej, a na jednej ze ścian wisi pięć kopii cudownych wizerunków objawionej Matki Boskiej z: Jasnej Góry, Ostrej Bramy, Guadelupy i dwóch innych. Nawy boczne domykają ołtarze, wieńczone obrazami: „Jezu, ufam Tobie” oraz uśmiechniętego Jana Pawła II z rozłożonymi powitalnie rękoma. Ołtarz główny koronuje drewniana figura Matki Boskiej, ponad nią Chrystus na krzyżu, a za nim w rozecie jedyny witraż wizerunkowy z gołębiem pokoju.

Nad Wilną

W połowie wakacji nadszedł moment wyczekiwanego przez wiele miesięcy wyjazdu. Szymon wszystko organizował, ale to Kacper wpadł na pomysł tej wycieczki. Tak mu się przynajmniej wydawało. Nie chcieli się sprzeczać o to, kto był pierwszy, więc postanowili nie poruszać tego tematu. Wiedzieli jedynie, że pomysłodawcą na pewno nie był Janek. To oni we dwójkę tworzyli wszystkie plany, a Janek był o nich informowany, gdy wszystko było już ustalone. On zawsze był na doczepkę. Tak było również i tym razem.

– Ej, Kacper, śpisz? Halo, śpisz?

– Teraz już nie. Co się stało? – odpowiedział zirytowany.

– Chyba niedługo będziemy na miejscu.

– I obudziłeś mnie tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

– No, nie tylko. Zobacz, jakie ładne widoki.

– Super, ale w moim śnie były ładniejsze.

– Już nie narzekaj jak stara baba. Nie cieszysz się, że w końcu udało się zorganizować jakiś wspólny wyjazd? – spytał Szymon, trącąc przy tym łokciem swojego rozmówcę.

– Cieszę się, cieszę, ale bardziej cieszyłbym się, gdybym był wyspany.

– To rzeczywiście jest dobry argument, no ale później się wypisz.

– Jak będziemy chodzić do klubów w nocy, to też się nie wypię.

– To najwyżej zostaniesz i będziesz spał, a ja będę imprezował z kimś innym – powiedział z uśmiechem, patrząc przy tym na Janka, który przespał moment przekraczania granicy i nie wiedział, że zbliżają się już do Kowna.

– Myślisz, że w ogóle będzie coś ciekawego w tym Kownie? – spytał Kacper, nie reagując na żart Szymona.

– Pewnie Wilno będzie ciekawsze, ale myślę, że w Kownie też będzie spoko.

– Obyś miał rację – odpowiedział, wzdychając.

– Ja się cieszę, że w końcu pogadam sobie po angielsku.

– Ja też na to czekam. To będzie trochę dziwne uczucie, ale warto się sprawdzić.

– Ej, dojeżdżamy już do Kowna? – zapytał Janek, budząc się nagle z drzemki.

Szymon i Kacper zaczęli się śmiać, ale potwierdzili przypuszczenia kumpla. Rzeczywiście byli

już na Litwie. Gdyby nie wiedzieli, gdzie są, to z pewnością uznaliby, że jadą przez Polskę. Nizinne Mazowsze lub Podlasie. Czy możliwe jest jednak to, aby po takich samych chodnikach chodzili inni ludzie? Aby przy takiej samej pogodzie płaciło się inną walutą? Aby w niedaleko położonych od siebie miejscowościach, oddzielonych stworzoną przez człowieka granicą, mówiło się w kompletnie różnych językach? Takie pytania zadawał sobie Szymon. Raczej tylko on.

Po wyjściu z autobusu rozejrzeli się dokładnie po ulicach dawnej stolicy Litwy. Wszystko wydawało się inne niż w Polsce. Ludzie także. Może rzeczywiście było inaczej, a może tylko się wydawało. Przecież wszyscy w Europie ubierają się w tych samych sklepach. Przemieszczając się do hostelu, wsłuchiwali się w dźwięki oryginalnego języka. „Tak jakby próbował być słowiański” – pomyślał Szymon.

Miejsce, w którym mieli się zakwaterować, wcale nie wyglądało jak budynek przeznaczony dla turystów. Lekko odpadający tynk kontrastował z kunsztownie rzeźbionymi drzwiami.

– Hello, we want to... – zaczął Szymon.

– Dzin dobry. Panowie z Polski, prawda? – odpowiedziała starsza pani z recepcji.

– Tak, tak – wycedził przez zęby.

– Czyli wsio się zgadza. Niech usiądą i odpoczną po wояżach, a ja urychtuję co trzeba.

Usiedli na kanapie, z której skaj odchodził w setkach małych kawałków, skazując ją tym samym na rychły wywóz na śmieciowisko. Janek początkowo nie chciał jej dotykać, ponieważ wizja otrępywania ubrań przyprowadzała go o niepotrzebne nerwy. Rozejrzał się po pomieszczeniu, i nie mając innego wyboru, przysiadł na rogu skajowej sofy.

– Już zrobiła, co miała. Mogą iść i rozpakować. Dobrego pobytu!

– Dziękujemy – krzyknęli chórem i skierowali się do swojego pokoju.

To kilkanaście metrów kwadratowych pod numerem szóstym zdawało się czekać na nich od zawsze. Widok przez okno był zachwycający.

– Dobra, pokój fajny, widok tym bardziej, ale rozpakujmy się jak najszybciej i lećmy na miasto – oznajmił Kacper.

Nikt nie protestował, ponieważ wszyscy chcieli zobaczyć tak dużo Kowna, jak tylko się dało. Nie mieli na to wiele czasu, ponieważ następnego dnia wieczorem ruszali w drogę do Wilna.

Szymon rozpakował się pierwszy. Może było to spowodowane pośpiechem, może zwinnością, a może tym, że wziął do swojej walizki najmniej rzeczy. Wyszedł w celu znalezienia łazienki, zostawiając w pokoju Janka z Szymonem.

Korytarz był przestronny i jasny. Każda ze ścian skrywała inne zagłębienia. Za jednym z nich zauważył średniej wielkości obraz. Podeszedł do niego, odkładając potrzeby fizjologiczne na później. Znajdował się na wysokości wzroku, co dawało możliwość przpatrzenia się każdemu szczegółowi, każdemu pociągnięciu pędzla. Na pierwszym planie była namalowana para. Siedzieli na ławce, przyglądając się jezioru rozpościerającemu się naprzeciw ich oczu. Mężczyzna prawą ręką przytulał kobietę, a w drugiej trzymał wędkę. Ubrany był po chłopsku, ale nie to było najbardziej interesujące. Postać z wędką patrzyła na jezioro z miną sugerującą ogromne znużenie. Wszystkie zmarszczki wygięte były w zniekształcone linie, a oczy wyrażały przygnębienie, znudzenie i złość. Szymon zdziwił się, jak dokładnie malarz przekazał na swoim dziele te emocje. Następnie przyjrzał się elegancko ubranej kobiecie, która uosabiała zupełnie inne emocje. Była szczęśliwa i zadowolona tym, co widziała. Można było odnieść wrażenie, jakby chciała zerwać się z ławki, zepchnąć rękę mężczyzny i wbiec do wody. Drzewa i krzewy wokół nich były radosne. Jeśli zakładać, że mogą takie być. Dlaczego siedzieli razem? Co ich tak naprawdę łączyło? Szymonowi te myśli nie dawały spokoju przez całą wycieczkę.

– Ok, my już też jesteśmy ogarnięci. Możemy iść na miasto – otwierając drzwi, powiedział Kacper.

– Spoko, tylko muszę wejść do łazienki.

– Przecież miałeś to zrobić kilkanaście minut temu. Co robiłeś w tym czasie? – spytał Janek.

– Nieważne. Zejdźcie na dół, a ja za chwilę do was dołączę.

Gdy wyszli przed budynek, zgodnie stwierdzili, że trzeba znaleźć jakiś supermarket. Na obiad nie mieli czasu. Napotkali na swojej drodze mały sklep spożywczy niegodny dużego europejskiego miasta.

– Hello, can we buy...

– Ja inglisz niet. Ruski? – odpowiedziała ekspedientka.

Szymon poczuł się, jakby ktoś z niego kpił. Stracił nadzieję

na przetestowanie swojego angielskiego. W tamtym momencie nie myślał racjonalnie i nie przyszło mu do głowy, że istnieje coś takiego jak niefortunny zbieg okoliczności. Kupili wszystko, co chcieli i szybko wyszli, aby nie tracić dnia.

– To się nagadałem po angielsku – skwitował.

– Przynajmniej rosyjskiego się nauczyłem – zażartował Janek.

– Ta...

Kowno miało wiele do zaoferowania, ale nie dla kogoś, kto wiedział, że za kilkadziesiąt godzin będzie w Wilnie. Postanowili, że najpierw pójdą nad rzekę. Obeznany w geografii Janek powiedział, że zna jedno ciekawe miejsce, które z pewnością jest warte zobaczenia. Zaufali mu.

Po drodze spotykali wiele osób mówiących po polsku. Jedną z nich okazał się mężczyzna sprzedający magnesy i w zasadzie wszystko inne również. Podeszli do niego za namową Kacpra, który oświadczył, że skoro już tu jest, to chce mieć jakąś pamiątkę z tego miasta. Szymon postanowił, że też coś sobie kupi. Postawił na brelok.

– Dzień dobry, który magnes by mi pan polecił? – zagadał Kacper, uznawszy, że każdy tutaj mówi po polsku, co nie było oczywiście zgodne z prawdą.

– Dzin dobry. Taki mam – powiedział, wskazując na jeden z najdroższych, jakie miał. – Ładny, nawet bardzo ładny i do tego widać całutkie Kowno.

Kacper długo się nie zastanawiając, kupił wskazany przez sprzedawcę przedmiot. Szymon natomiast nie pytał się o poradę. Wybrał sam.

– A swoją drogą, to panowie chyba znad Wisły?

– Tak, a to po nas widać? – zdziwił się Janek.

– Nie widać, ale słychać. Słychać i to jak! – odparł ze łzami w oczach.

– Pan płacze? – zainteresował się Szymon. – Coś się stało?

– Nie, nie, nic się nie stało – powiedział uspokajającym głosem. – Malo chto mówi takim polskim cipier. Wy coraz mniej przyjeżdżacie, bo o nas zapomnieliście, a młode polskiego się nie ucą.

Chłopacy się zmieszali i nie byli pewni, co będzie dobrym pocieszeniem na takie słowa.

– My przecież o niczym nie zapomnieliśmy – tłumaczył Szymon. – Wiemy, jaka była historia...

– E tam – przerwał. – Historia nie jest czymś, co było. Ani ona stała, ani prawdziwa. To zwykle opowieści, które zmieniają się za każdym razem, gdy zmienia się władza.

Taka odpowiedź ich zaskoczyła. Prędzej spodziewaliby się

jakiegoś przekleństwa niż takiego stwierdzenia.

– Najważniejsze, że tacy ludzie jak pan nie zapomnieli polskiego i cały czas go używają – wyręczył Kacper Szymona.

– No właśnie – dodał z ubo-
cza Janek.

– Oj, panowie, co ja w za-
sadzie znaczę. Wszyscy sobie
wmówili, że coś znaczą. Gdyby
nie to, popelnilibym zbiorowe
samobójstwo.

Takich słów nie spodziewali
się jeszcze bardziej. Odeszli skon-
sternowani i przez dłuższą chwilę
zbierali myśli, nie odzywając się
do siebie nawet słowem. Ciszę
przerwał Janek.

– Co o nim myślicie?

– Dziwny typ. Trochę obłą-
kany – odpowiedział mu Kacper.

– Mnie go szkoda – ze smut-
kiem w głosie nadmienił Szymon.

– Niby tak, ale żeby obcym
ludziom opowiadać o jakichś zbioro-
wych samobójstwach? – spytał
sam siebie Kacper. – Musiał być
bardzo zdesperowany.

Nie poruszali już więcej tego
tematu. Planowanie tego, co będą
robić przez następne godziny,
było o wiele bardziej pociągające.
Spokojną rozmowę zakłócił okrzyk
Janka.

– Jesteśmy! Jesteśmy na miej-
scu!

Nie wiedzieli, o co mu chodzi.
Przed nimi była rzeka. Taka, jak
wszystkie inne.

– Ale co masz na myśli? To
po prostu woda – odpowiedział
mu Kacper.

– Teraz tak wam się wydaje,
ale podejdźcie i zobaczcie – wyrzekł
z pewnością siebie. – Ja już wiem.

Podeszli bliżej. Ich oczom
ukazało się coś niezwykłego. Było
to miejsce, w którym spotykały się
dwie rzeki: Niemen i Wilia. Jedna
z nich była zanieczyszczona, ale
druga zadziwiała swą przejrzysto-
ścią. Oddzielały się od siebie prawie
równą linią, tak jakby nie chciały się
łączyć. Szymon dumiał, jak to jest w
ogóle możliwe. Zdjął buty. Przy roz-
wiązywaniu sznurówek wypadł mu
z kieszeni brelok. Zauważył to i na-
tychmiast go wyłowił. Jedną nogę
zanurzył w jednej rzece, a drugą
w drugiej. Patrząc na pamiątkę z
flagami Polski i Litwy, spostrzegł,
że przedmiot zarzewiał. Próbował
to sobie racjonalnie wytłumaczyć,
ale jak można zrozumieć to, że
kupił błyszczącą pamiątkę, która od
razu po kontakcie z wodą pokryła
się rdzą? Z rozmyślań wyrwał go
Kacper nagłym pytaniem: „To co,
gdzie idziemy teraz?”.

Ernst Enno

Kraży wiatr

Kraży wiatr po pustych brzegach,
łkając za butami biega,
chciałby minąć puszcę – za nią
wczoraj lato pogrzebano...
Padnij! Tam, gdzie jaskrów łaki!
Hurra! Tam, gdzie szczęścia paki! –
kraży wiatr po pustych brzegach,
łkając za butami biega,
chciałby minąć puszcę – za nią
lato – czemu pogrzebano?
Brzeg obiegły ostre szkwały,
ziąb zagościł w wiosce całej,
Szron na łące, kołem dzwoni –
wiatr sam za butami goni,
łka, chce iść, lecz błądzi boso –
tam buciki złote niosą.

=Tuul käib

Tuul käib tühjal rannal ringi,
nutab tasa, otsib kingi,
tahab laane taha minna –
suvi maeti eile sinna...
Kukku! Kus on kullerkupud!
Hõissa! Kus on õnnenupud! –
tuul käib tühjal rannal ringi,
nutab tasa, otsib kingi,
tahab laane taha minna –
suvi, miks ta maeti sinna?
Rannal rajud rasked käinud,
külmal on läbi küla läinud,
aasal härm ja helin ringi –
tuul käib üksi, otsib kingi,
nutab tasa, tahab minna –
kingad kuldseid viivad sinna.

Juhan Liiv

Aeg

Olgu see armas või olgu see kole,
ükski mees enesest pikem ei ole.
Aega nad mõõdavad enne ja praegu,
usun, see kõik on ilmaaegu.
Õhk on kord soojem, teinekord karem:
millal me teame, mil aeg ajast parem?
Istu sa kaalul, kas vannu või palu:
raskus on üks, olgu kui suur su talu.
Sina ju aegasid mõõta ei saa,
osa sa oled ju temasta –
aeg aga on sinu kaaluja!

Czas

Z ludzi – choć śmiej się, choć wzdychaj, niebożę –
nikt wyższy siebie urosnąć nie może.
Czas tylko mierzą, jak wcześniej, tak teraz,
mój sąd: na nic cała afera.
Raz bywa cieplej, raz chłód gardło drapie:
kiedy czas lepszy – kto w czas się połapie?
Usiądź na szali, a klnij się, a błagaj:
w chacie, we dworze – jedna jest waga.
Czasu twe miary nie mieszczą,
boś przecie sam jego częścią –
za to czas twoim jest sędzią!

*Z estońskiego przełożył
Przemysław Podleśny*

Świat Inflan Pismo literacko-naukowe Wydawca: Bractwo Inflanckie 85-010 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 62/1, tel./fax (052) 321 33 71, e-mail: akant24@wp.pl

Redaguje kolegium: Andrzej Bogucki - Piekuns, Stefan Pastuszewski - Lauva (redaktor naczelny), Roman Sidorkiewicz - Klijans, Henryk Tokarz, Malwina Witucka-Krygier (sekretarz redakcji)

Rada redakcyjna: Helena Bagieńska (Windawa - Ventspils), Jan Hryniewicz (Ryga - Rīga), Rafał Berger (Bydgoszcz), Maciej Bułak - Bałachowicz (Warszawa), Bogusław Dybaś (Toruń), Paweł Bogdan Gąsiorowski - Zostevins (Bydgoszcz), Aarne Puu (Kraków), Alina Tsvetkova (Järva-Jaani), Mahmud Taha Żuk (Warszawa).